

MARIA RYTEL

ur. 1931; Lublin

Miejsce i czas wydarzeń	Lublin, dwudziestolecie międzywojenne, II wojna światowa
Słowa kluczowe	projekt Archiwum Historii Mówionej - opracowanie i udostępnienie online najcenniejszych zasobów; Lublin; dwudziestolecie międzywojenne; II wojna światowa; Gewerc (rodzina); rodzina Gewerc; Żydzi w Lublinie; Żydzi lubelscy; Holocaust; okupacja niemiecka; okupacja hitlerowska; potrawy żydowskie; ryba po żydowsku; pomoc Żydom w okresie II wojny światowej

Gewercowie mieli troje dzieci

[Gewercowie] mieli troje dzieci. Welwuś był młodszy ode mnie chyba o rok czy dwa, ta średnia córka chyba rok czy dwa starsza, a najstarsza to była w wieku mojej siostry.

Najstarsza nazywała się Saba. Ona chodziła do Królowej Jadwigi, na Długosza, razem z moją siostrą, do jednej klasy. Ona jest nawet na zdjęciu. Średnia się nazywała Złata, ale od jakiego to imienia Złata, to nie wiem. Najmłodszy się nazywał, mówiło się zdrobniale Welwuś. To chyba od Wolfa. Wolf to zdrobniale Welwuś. Ten pan Gewerc się nazywał Dawid Gewerc a jego żona nazywała się Cypa. To się do niej mówiło pani Cesi, po polsku.

Ta najstarsza, Sawa, to do siostry przychodziła, z siostrą się przyjaźniły. Nieraz do nas przyszła, lekcje razem odrabiały. Wiem, że jak siostra nieraz tam ze szkoły wychodziła, bo na Długosza ta szkoła była, to szła do tych Gewerców. No i później tutaj Lubomelską, ta na dole co jest ulica, Lubomelską, przychodziła do domu. Już nie przez Krakowskie Przedmieście tylko tutaj, bo tu bliżej było. No a oni, jak przychodzili, to przeważnie też z dziećmi przychodzili. Bo podwórko było duże, piaskownica, tośmy się tam razem bawili.

Moi rodzice tam specjalnie chodzili na rybę po żydowsku. To bardzo dobra ryba była. Robili tą rybę po żydowsku i myśmy tam właśnie na tą rybę chodzili. Państwo Gewercowie jak do nas przychodzili, bo święta były czy co, to właściwie nic nie jedli. Ciasto jedli. Bo wszystko dla nich było trefne. Chyba, że mama rybę zrobiła, bo już się nauczyła od pani tej Cypy robić rybę dobrą, bo moja mama była bardzo dobrą

gospodynią – jeśli chodzi o obiady, w ogóle o jedzenie, umiała dużo dobrych rzeczy zrobić. To jak przyszli, to jedli tą rybę i jedli ciasta, jakieś torty jak były czy coś. A tak to nie, bo to było dla nich trefne. Nawet nie można było dać na normalnym takim talerzyku jedzenia, z porcelany, bo to było trefne, tylko musiało być z przezroczystego szkła. To sobie przypominam.

Pan Gewerc jak u nas, jeszcze na tamtym mieszkaniu [przy ulicy Jasnej 3], się ukrywał chyba z tydzień czy ze dwa, tak zawsze go podglądałam, co on robi, a on sobie przyczepiał coś na głowę, jakąś taką myckę, jakieś takie coś, co się nazywało cycełe. Coś się kiwał, coś tam takiego robił, ale mama mnie odganiała, nie przeszkadzaj. Ja byłam ciekawa.

Później, już jak ich wyrzucili stamtąd [z Wieniawy], to oni się do nas wprowadzili [na ulicę Górną 7a]. I tutaj byli kilka tygodni. Myśmy [żyli] pod strachem. Ciągłe do okna chodzili. Była Cypa i troje dzieci, to cztery osoby i jeszcze ten przychodził. Jak obiady były, to już wtedy nie patrzył czy trefne czy nie trefne, tylko jadł wszystko.

Ale otworzyli getto, no i może dobrze, że otworzyli, bo przecież oni by tutaj nie mogli być, bo byśmy wszyscy zginęli. Oni by zginęli, i nas by też zastrzelili Niemcy.

Później, już jak ona poszła do getta, już tu w ogóle przestał przychodzić. Mama tylko mówi raz: „Wiesz co, tutaj taki samochód odkryty ciężarowy jechał Górną, patrzę - mama w oknie w kuchni była - a to Gewerc jechał i Gewerca gdzieś tam wieźli, taki uśmiechnięty, bo zobaczył panią Rytlową w oknie”.

Data i miejsce nagrania	2012-06-19, Lublin
Rozmawiał/a	Tomasz Czajkowski
Prawa	Copyright © Ośrodek "Brama Grodzka - Teatr NN"